

Tchórz czy strateg?



Tutaj powinien być materiał audio

Albert Świdziński

Tchórz czy strateg?

Wraz z szybko zbliżającym się początkiem kadencji Donalda Trumpa, który ze swojej nieprzewidywalności uczynił niezwykle skuteczne jak dotąd narzędzie osiągnięcia celów politycznych, w niektórych kręgach w Polsce kielkować zaczęła nadzieja, że administracja 47. prezydenta Stanów Zjednoczonych znacznie liberalniej i znacznie śmieiej stosować będzie narzędzie, którego Biały Dom Joe Bidena starannie unikał. Narzędziem tym jest eskalacja (lub groźba eskalacji), mająca służyć – obok niezbędnych zachęt – jako metoda wpływania na kalkulacje rosyjskich elit na tyle, aby uznały one, że kontynuowanie obecnej agresywnej polityki jest nieopłacalne, jeśli chodzi o bilans korzyści i kosztów. Być może tak będzie – natomiast należy pamiętać, że wyrażenie „strategia szaleńca” jest oksymoronem – bo szaleniec nie ma strategii; ktoś grający szaleńca w celu osiągnięcia wyznaczonych sobie celów oczywiście strategię ma – ale wcale szaleńcem nie jest. To zaś oznacza, że jego decyzje, w tym dotyczące akceptacji ryzyka eskalacji, są podejmowane na podstawie racjonalnych przesłanek – a te mogą nakazywać nie eskalację, tylko akomodację względem przeciwnika.

Z punktu widzenia USA jako państwa- gwaranta bezpieczeństwa zarządzanie eskalacją w tego rodzaju konfliktach, jaki toczy się obecnie na Ukrainie, a w niedalekiej przyszłości może dotknąć również Polskę, nigdy nie było łatwe. Jednak ostatnie 30 lat hegemonii Stanów Zjednoczonych zaszczerpiło w zachodnich (a co najgorsze – amerykańskich) decydentach przeświadczenie, że jak pisała w opublikowanym przez „Texas National Security Review” (TNSR) artykule kanadyjska politolog Janice Stein, „skomplikowane wyzwania strategiczne związane z zarządzaniem eskalacją nuklearną” odeszły na trwałe do przeszłości. Podobną tezę przedstawił dowódca USSTRATCOM, admirał Charles Richard, który w artykule dla Heritage Foundation zauważył, że zarówno wśród urzędników, jak i wojskowych niemal uniwersalne stało się nadawanie słowu „eskalacja” pejoratywnego zabarwienia, czynienie go „synonimem czegoś złego, niebezpiecznego, niepożądanego”. Jednak, jak zauważa Richard, „kryzysy i konflikty, szczególnie pomiędzy wielkimi potęgami, są

kwestią stawki i determinacji i stają się rywalizacją na podejmowanie ryzyka. W wielu wypadkach eskalacja lub groźba eskalacji jest niezbędna, aby osiągnąć pożądany rezultat". Eskalacja nie jest więc dobra ani zła; eskalacja jest narzędziem; źle wykorzystane, owszem, może ono doprowadzić do katastrofy. Wykorzystane dobrze może „pozwoić na szybsze zakończenie konfliktu poprzez przekonanie przeciwnika, że błędnie ocenił sytuację i nie docenił zaangażowania drugiej strony". Niestety, konkluduje Richard, Stany Zjednoczone „dochowały się generacji ekspertów od bezpieczeństwa wyszkolonych, aby myśleć, że eskalacja jest zawsze zła”.

Stany Zjednoczone w wielu – choć nie we wszystkich – aspektach swojej polityki są jako mocarstwo dominujące w systemie międzynarodowym państwem preferującym status quo. Uczynienie udzielanych sojusznikom gwarancji bezpieczeństwa nuklearnego wiarygodnymi jest samo w sobie rzeczą niezwykle trudną; sprowadzają się one przecież do obietnicy, że chroniąc życie swojego partnera biznesowego, położymy na szali życie nie tylko własne, ale też swoich dzieci i przyjaciół. Groźby takie są zawsze obarczone znaczną dozą nierealności; trudno jest w nie uwierzyć. Bywają momenty w historii, kiedy jest to prostsze; na przykład podczas zimnej wojny USA składały taką obietnicę państwom Zachodu Europy – jednak wtedy Rosja sowiecka stanowiła równorzędne dla USA wyzwanie. Gdyby Sowieci zdołali zdobyć całość kontynentu europejskiego, z zasobami i wiedzą, którymi dysponowali zachodni partnerzy USA, nie tylko wypchnęliby w ten sposób USA z Eurazji, ale też pozwoliliby na amalgamację tych środków (bogactwa, wiedzy i technologii) z zasobami sprzętowymi, surowcowymi i ludzkimi ZSRR. To, wraz z nieskrępowanym dostępem do Atlantyku, dałoby podstawy materialne, aby zagrozić kontynentalnym Stanom Zjednoczonym bezpośrednio. Teraz sytuacja jest zupełnie inna; głównym argumentem dającym Rosji prawo do myślenia o sobie jako o mocarstwie regionalnym są jej zasoby nuklearne. Kreml nie może natomiast myśleć w żadnej dającej się przewidzieć przyszłości o ustanowieniu hegemonii regionalnej w Europie; ba – ma problem nie tylko z odzyskaniem dawnej strefy wpływów, ale też terytoriów, które trzy dekady temu były częścią ZSRR, jak Ukraina. Rosja nie jest zdolna do rzucenia symetrycznego wyzwania Stanom Zjednoczonym – i nie będzie; ma natomiast zdolności (największy na świecie, a prawdopodobnie również najnowocześniejszy arsenał jądrowy) pozwalające jej na zadanie Stanom Zjednoczonym bólu.

Jednocześnie Moskwa jest zdeterminowana, aby poszerzyć swoją strefę wpływów, uznając nie tylko, że jej pozycja w systemie międzynarodowym, jaki istnieje obecnie, jest niezadowolająca, ale też, że bliskość NATO i bliska współpraca innych państw z USA stwarza zagrożenia dla rosyjskich interesów. Rosja jest państwem rewizjonistycznym. Dążenie do tego celu z zasady związane jest z poważnym ryzykiem; państwa, które chcą doprowadzić do rewizji systemu międzynarodowego, muszą być gotowe na niebezpieczeństwa związane z eskalacją. To daje im przewagę w prowadzeniu „dyplomacji przemocy” vis-à-vis państw, które są zwolennikami status quo. Amerykańskie myślenie o zarządzaniu eskalacją w konfliktach, których stronami są mocarstwa nuklearne, uległo w ostatnich trzech dekadach procesowi atrofii. Ta część amerykańskich elit, której początek życia zawodowego przypada na okres po zakończeniu zimnej wojny – w czasach jednobiegunowej chwili – wykształciła w sobie przekonanie, że cały zestaw problemów i zagadnień dotyczących zarządzania eskalacją, czynienia przez Stany Zjednoczone wiarygodnymi swoich gwarancji wobec sojuszników oraz odstraszenia jądrowego wobec potencjalnych rywali jest reliktem historii. Jak pisali autorzy raportu CSBA Understanding Strategic Interaction in the Second Nuclear Age, „wraz z odchodzeniem w przeszłość pamięci o zimnej wojnie (...) długoterminowym ograniczaniem roli strategii nuklearnej oraz strategii odstraszenia jako części narodowej strategii bezpieczeństwa w Departamencie Obrony jest coraz mniej urzędników posiadających profesjonalną wiedzę na temat zagadnień związanych z bronią jądrową. Stany Zjednoczone coraz szybciej tracą zrozumienie, czym jest odstraszanie nuklearne”.

Obecne struktury rządu amerykańskiego nie mają środków budżetowych, prestiżu oraz instytucji, które pozwoliłyby na stworzenie efektywnej strategii jądrowej, tak jak to miało miejsce w czasach zimnej wojny”. Autor tekstu dodaje od siebie, że z komentarzy amerykańskich specjalistów zajmujących się strategią nuklearną wynika, że jeżeli istnieją obszary najmniej ową atrofią dotknięte, to dotyczą one zazwyczaj kontroli zbrojeń, terroryzmu nuklearnego czy nieprolifracji – i trudno pozbyć się wrażenia, że jest to odczuwalne, bo polityka administracji Joe Bidena w zakresie odstraszenia i gwarancji bezpieczeństwa zdaje się w znacznej mierze kształtowana przez środowiska „kontrolerów zbrojeń”, którzy z jednej strony starają się nie dopuścić do proliferacji broni jądrowej – z drugiej zaś niechętni są zaburzaniu stanu równowagi strategicznej pomiędzy USA a ich symetrycznymi przeciwnikami, Rosją i ChRL. Ta dwie postawy są jednak wewnętrznie sprzeczne; proliferacja może mieć miejsce w momencie, gdy sojusznicy USA objęci parasolem nuklearnym tego państwa uznają, że gwarancje bezpieczeństwa Waszyngtonu tracą wiarygodność; odpowiedzią na ich obawy może być poprawienie wiarygodności – ale to wymaga działań mogących zaburzyć stan stabilności strategicznej vis-à-vis chociażby Rosji. Nie da się natomiast „mieć ciastka i zjeść ciastka” – nie można minimalizować ryzyka konfliktu z Rosją oraz jednocześnie promować nieprolifracji; a właściwie można próbować (bo to właśnie robią obecnie Amerykanie), ale należy zdawać sobie sprawę, że są to wektory polityczne o różnych zwrotach. Skupienie – moim zdaniem nadmierne – administracji Bidena na stabilności strategicznej ma swoje źródło w niewłaściwym zrozumieniu roli broni jądrowej w polityce międzynarodowej. Nie odgrywa ona roli nadrzędnej – to nie przez nią wybuchają i kończą się kryzysy; nie ona jest ich przyczyną. W swojej (wybitnej w moim przekonaniu) książce „Nuclear Statecraft. History and Strategy in America’s Atomic Age” Francis Gavin zauważył, jakie konsekwencje stworzyła siła argumentów logicznych tworzonych przez klasyków strategii jądrowej. Pisze on tak: „(...) te teorie opierały się na specyficznym rozumieniu świata: że system międzynarodowy już nie był

napędzany geopolityczną rywalizacją pomiędzy wielkimi mocarstwami. Że chociaż te czynniki dalej miały znaczenie, relacje międzynarodowe były teraz kształtowane przez istnienie i interakcję pomiędzy wrogimi siłami nuklearnymi. Że to sama broń: jej śmiertelność, jej liczebność, miejsca, w których się znajdowała - wyznaczała tor polityki, a nie na odwrót. Ta interakcja mogła wygenerować rezultaty - wyścigi zbrojeń, niebezpieczne kryzysy, nawet niezaplanowane wojny - niezależnie od politycznych źródeł rywalizacji. Te teorie zakładały, że najefektywniejszą polityką może być nie skupienie się na przyczynach sporów pomiędzy państwami, ale skupienie się na kontrolowaniu ich zbrojeń". W tym świetle łatwiej zrozumieć, dlaczego rozpaczliwe próby skupienia się przez USA na „stabilności strategicznej” są albo zbywane przez Rosję, albo też cynicznie wykorzystywane przez nią do dalszego poprawienia jej pozycji wobec USA - ale nie poprawiają sytuacji bezpieczeństwa.

Stabilność strategiczna i ewentualne traktaty ułatwiające jej utrzymanie mogą być rezultatem rozwikłania przyczyn sporów geopolitycznych; ale nie ich rozwiązaniem. Nie da się osiągnąć stabilności strategicznej poprzez zadekretowanie jej lub podpisanie porozumienia - bo albo nikt go nie podpisze, albo podpisze tylko po to, aby uzyskać dzięki temu przewagę. Innymi słowy - najpierw Amerykanie muszą albo odpuścić, albo docisnąć gaz i wymusić na Rosji, aby to ona odpuściła; dopiero potem, gdy stan zapalny będący przyczyną sporu zostanie uleczony, będą mogły mieć miejsce prawdziwe ustalenia, dzięki którym uda się poprawić stabilność strategiczną. Jako dowód Gavin podaje Berlin Zachodni; Sowieci zachowywali się tam najagresywniej (choć może z ich perspektywy wcale nie byli agresywni, tylko dbali o swoje interesy i starali się niwelować tworzone przez Amerykanów zagrożenie dla nich) na przełomie lat 50. 60. - wtedy, kiedy to Amerykanie posiadali ogromną przewagę ilościową i jakościową w broni jądrowej; tak dużą, że mogli nawet myśleć o obezwładnieniu dzięki niej ZSRR. Natomiast Sowieci „zostawili Berlin Zachodni w spokoju po 1962 roku, chociaż akurat wtedy zaczęła zanikać przewaga USA w dziedzinie broni jądrowej. Bo wtedy kluczowe geopolityczne zagadnienia dotyczące statusu politycznego i militarnego Niemiec Zachodnich zostały rozwiązane, głównie zgodnie z oczekiwaniami Sowiec”.

Amerykanie muszą jednak być świadomi tego, że utrzymanie nacisku na stabilność strategiczną kosztem wiarygodności odstraszenia jądrowego może skutkować erozją amerykańskiego systemu bezpieczeństwa i towarzyszącą temu procesowi kolejną falą proliferacji broni nuklearnej, w szczególności pośród zaczynających wątpić w siłę amerykańskich gwarancji sojuszników Waszyngtonu. Jeżeli groźby użycia broni jądrowej wobec państwa jej nieposiadającego, a objętego pewnymi - chociaż znacznie mniej sformalizowanymi niż NATO-wskie - gwarancjami bezpieczeństwa, posłużyć mogą za tarczę, pozwalającą nie tylko na agresję konwencjonalną, ale też nieponiesienie konsekwencji w postaci porażki w wypadku jej niepowodzenia, cały system nieproliferaacji może się znaleźć w stanie krytycznego zagrożenia. Problem ten doskonale zarysował się podczas wojny na Ukrainie; od samego jej początku Stany wyznaczyły sobie dwa cele: niedopuszczenie do eskalacji horyzontalnej (a więc do rozlania się konfliktu i bezpośredniego starcia pomiędzy NATO a Rosją) oraz wspomaganie Ukrainy w wysiłku wojennym i odpieraniu rosyjskiej napaści. To właśnie pogodzenie ze sobą tych stojących ze sobą niekiedy w sprzeczności celów wyznaczyło „pole gry” oraz granice strategii zarządzania eskalacją. Jednocześnie trudno jest uciec od konstatacji, że jeden z tych celów był celem nadrzędnym - chodzi oczywiście o niedopuszczenie do wybuchu otwartego konfliktu pomiędzy NATO a Rosją. Jak dowodzi Stein, w gruncie rzeczy podczas wojny na Ukrainie mieliśmy do czynienia ze zderzeniem się ze sobą dwóch strategii: rosyjskiej strategii manipulowania niepewnością i percepcją ryzyka niekontrolowanej eskalacji oraz amerykańskiej strategii ograniczania nieprzewidywalności. Problem polega na tym, że tak opisane zasady gry jednoznacznie sugerują, że jeden z graczy (ten gotów manipulować ryzykiem) osiąga przewagę nad drugim, bardziej zachowawczym graczem. Sygnalizując (czynem i gestem) gotowość do zaakceptowania ryzyka niekontrolowanej eskalacji Rosja zademonstrowała, że stawka wojny jest dla niej na tyle duża, aby - użyjmy przenośni - zaryzykować wszystko. Z kolei dbanie o utrzymanie stabilności strategicznej i niepodejmowanie działań, które mogłyby skutkować niekontrolowaną eskalacją, stanowiło empiryczny dowód na to, że waga wojny na Ukrainie jest dla Amerykanów mniejsza niż dla Rosji; wystąpiła więc asymetria stawki na korzyść Rosjan.

Ten kulturowy element problemu, niechęć i niezdolność części co najmniej amerykańskiego establishmentu do eskalacji, do podejmowania ryzyka jest - niestety dla nas - jedynie jedną częścią problemu. Gdyby był to problem jedyny, a wszystkie inne uwarunkowania pozostawały niezmienione, to Amerykanie musieliby się po prostu na nowo nauczyć bardziej asertywnego zarządzania dynamiką konfliktów i przeprosić się z eskalacją. Byłby to proces trudny i bolesny - przede wszystkim dla sojuszników USA - ale w końcu Amerykanie trudną sztukę eskalacji opanowałyby na nowo. Nie musiałyby to oczywiście oznaczać, że wyraziliby oni na przykład chęć przebazowania swojej broni jądrowej na terytorium Polski, bo mogłyby to wywołać sprzeciw pozostałych państw NATO, grożąc podziałami wewnątrz organizacji - ale, mimo wszystko, zmiana zachowania Stanów Zjednoczonych nałożyłaby dodatkowe koszty na Rosjan.

Jednak w moim przekonaniu fundamentalny problem jest znacznie poważniejszy niż atrofia myślenia elit amerykańskich o eskalacji. Obiektywna stawka konfliktu na wschodniej flance NATO i jej potencjalne konsekwencje po prostu nie uzasadniają podejmowania takiego ryzyka przez Stany Zjednoczone. Gdyby więc nawet Amerykanie wyćwiczyli się w eskalacji, gdyby rolę doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego odgrywał nie Jake Sullivan, tylko Henry Kissinger i gdyby prezydentem USA nie był Joe Biden, tylko Richard Nixon, i nawet

gdyby Amerykanie byli gotowi na zagrywkę à la Reagan, Kennedy czy Eisenhower, to nie musiałoby to oznaczać, że są gotowi zaakceptować ryzyko eskalacji vis-à-vis Rosji – dlatego że doszliby do wniosku, że im się to nie opłaca. Brak asertywności Amerykanów można tłumaczyć tym, że generacja polityków, urzędników czy wojskowych nie była zmuszona konfrontować się przez ostatnie 30 lat z państwami kwestionującymi status quo. Niechęć do eskalacji może być wynikiem nieracjonalnego strachu, słabości charakteru lub formacji intelektualnej – ale nie musi; czasami niechętny eskalacji może być największy twardziel i zakapior, jeżeli uzna, że mu się ona nie opłaca.

Uważam, że – pomijając przyzwyczajenie – nie ma uzasadnienia dla wikłania się przez Stany Zjednoczone w sytuacje, które mogą doprowadzić do wymiany jądrowej z Rosją w obronie Polski, niezależnie od tego, czy jest ona członkiem NATO czy nie. Rosja, w przeciwieństwie do ZSRR, nie jest dla USA potencjalnym równorzędnym rywalem, jeżeli chodzi o całościowy potencjał tego państwa: ekonomiczny, technologiczny, demograficzny, innowacyjności, nawet w wymiarze konwencjonalnych zdolności militarnych. Jest rywalem równorzędnym wyłącznie w wymiarze broni jądrowej; dzięki niej ma potencjał, żeby zadać Amerykanom bardzo wiele bólu. Zagrożenie ze strony Rosji ma charakter ograniczony, podobnie zresztą, jak ograniczone są ambicje Kremla. Rosjanie chcą mieć swoją strefę wpływów; to jest, oczywiście, śmiertelne zagrożenie dla Polaków, Ukraińców, Bałtów – ale dla nikogo więcej. Rosjanie, w przeciwieństwie do Sowietów, nie mogą mieć nadziei na to, że ich zagony pancerne będą maszerować pod Bramą Brandenburską, przez Pole Marsowe czy po Piccadilly. Oznacza to, że jakiegokolwiek zagrożenie ze strony Rosji z punktu widzenia państw na zachód od Odry nie może zostać zaklasyfikowane jako egzystencjalne. To, w połączeniu z:

- permanentnym kryzysem gospodarczym i społecznym, w którym pogrąża się Europa,
- koniecznością skupienia się przez USA na rywalizacji z Chinami,
- faktycznie mającym miejsce pogarszaniem się jakości elit oraz odzwyczajaniem się przez nie od myślenia o eskalacji w kategoriach przydatnego narzędzia, a nie czegoś niemoralnego
- atrofii zdolności militarnych, których odbudowanie kosztowałoby bardzo dużo pieniędzy, których Europa nie ma, a Stany muszą je wydawać z myślą przede wszystkim o Chinach, a nie o Rosji

czyni pomysł konfrontacji militarnej z Rosją, mającej potencjał do przeistoczenia się w wojnę jądrową, propozycją absurdalną. Skuteczność rosyjskich gróźb nie wynika i nie będzie wynikać tylko ze słabości Europy i USA ani też wyłącznie z tego, że Rosjanie doskonale przygotowali sobie „boisko” do ich stosowania – nade wszystko wynika ona z tego, że łatwiej jest je spełnić, niż się im oprzeć; to ostatnie nie znajduje uzasadnienia w rachunku ryzyka do korzyści. Nie jesteśmy w stanie nic zrobić, aby ten rachunek zmienić.

Nasza cała nadzieja w tym, że Stany Zjednoczone będą dalej grać rolę, z jakiej znamy je od zimnej wojny – rolę hegemonu, państwa stabilizującego porządek międzynarodowy, utrzymującego wolną wymianę handlową, dbającego o utrzymanie norm i standardów prawa międzynarodowego. Stany Zjednoczone pełniły taką funkcję nie dlatego, że tamtejsi politycy są szlachetni i mają dobre serca; Stany pełniły ją dlatego, że było to konieczne do realizacji ich wielkiej strategii prymatu, dzięki której, zdaniem tamtejszych elit, były bezpieczniejsze.

Jeżeli zachodzą okoliczności, które mogą zmienić nasze kalkulacje co do gotowości sojuszników do przyjscia nam na pomoc, musimy być ich świadomi, z pełną trzeźwością oceny sytuacji dostrzegając je i identyfikować. Nie stać nas na luksus wiary w nieprecyzyjne obietnice niepoparte zdolnościami i na ślepy dogmatyzm. Kissinger zauważa, że „sukces polityki *raison d'État* zależy przede wszystkim od umiejętności oceny stosunku sił (...) określenie granicy siły wymaga doświadczenia połączonego z intuicją oraz ciągłego dostosowywania się do okoliczności”. Już od kilku lat Stany Zjednoczone nie są zdolne realizować „standardu dwóch konfliktów”. Ba, stoimy w obliczu możliwej (wrodzona ostrożność każe mi użyć słowa „możliwej”; prawdę mówiąc, uważam, że właściwym określeniem byłoby raczej „nieuniknionej”) zmiany wielkiej strategii Stanów Zjednoczonych. Wraz z nią odejdzie do przeszłości świat, który umożliwił Polsce funkcjonowanie w sposób, w jaki czyniła to przez ostatnie 30 lat.